

Teksty Drugie 2002, 3, s. 232-240



Spotkanie w Vence

Teresa Stankiewicz

Świadectwa

Teresa STANKIEWICZ

Spotkanie w Vence¹

W swoim *Dzienniku* z 1966 roku Gombrowicz napisał:

Gdzież są ci, co mogliby mnie opowiedzieć, opisać, przekazać mnie, jaki byłem? Ludzie, z którymi obcowalem, nie byli przeważnie ludźmi pióra, trudno wymagać od nich barwnych anegdot, szczęśliwej charakterystyki, udanej sylwetki... i, trzeba przyznać, ja z każdym byłem inny, więc nikt z nich nie wie, jaki byłem.

Zdaję sobie sprawę z tego, w jaki sposób każdy z tu obecnych mógłby wykorzystać spotkanie z wielkim pisarzem, ile istotnych pytań mógłby zadać, i jak byłoby to cenne. To bardzo trudne zadanie przekazać swoje wspomnienia o człowieku, który jest własnością tylu ludzi, z których każdy widzi jego cząstkę i którego dzieło jest tak analizowane. Wahałam się długo, czy podzielić się tym, co dla mnie jest sprawą bardzo prywatną i czy nie będzie to swojego rodzaju zdradą wobec człowieka, który był tak wydany przez swoją nadmierną wrażliwość na cierpienie, dla którego kontakt z innymi nie miał w sobie nic z naturalności i spontaniczności, który sam obserwował i był obserwowany. W najogólniejszym zarysie nasze spotkania miały jeden wspólny ton – wyciszony aż przesadnie może; więcej odczuwania wzajemnego niż rozmów, żadnej towarzyskiej zdawkowości.

Do Vence przyjechałam pod koniec sierpnia 1965 roku na zaproszenie Fundacji im. Michael Karolyi. Fundację tę założyła wdowa po prezydencie Węgier dla artystów z całego świata – malarzy, rzeźbiarzy, pisarzy i muzyków; zapewniono artystom (tylko) mieszkanie. Domki Fundacji położone na południowych wzgórzach, oddalone są od miasteczka około dwudziestu minut drogi.

Vence – średniowieczne miasteczko z centralnym placem Du Jardin – z kawiarnią „Regence”, w której spotykali się turyści i artyści, i tam skupiało się życie mia-

^{1/} Tekst wygłoszony na sesji Gombrowiczowskiej w Instytucie Badań Literackich, Warszawa 24-26 kwietnia 1975. <http://rcin.org.pl>

Stankiewicz Spotkanie w Vence

steczka. W wąskich uliczkach antykwariaty i małe galerie. Czasem można było spotkać Chagalla – najczęściej na pocztce. Nieco poza miasteczkiem Kaplica Matisa. Muzeum Matisa można było zwiedzać w Nicei; w Vallauris – ceramikę Picasa; w Haut de sur Mer – dom Renoira; w Tourette – pracownię artystów, mieszkał tam kiedyś Modigliani; w Biot – Muzeum Légera; w Cap d'Antibes – zamek Grimaldi zamieniony na Muzeum Picassa; w Ville Franche – kaplicę Matisa; w Saint Paul – w Galerii Maeght kolekcję dzieł z całego świata – Miro, Braque, Giacometti i inni.

Podczas pobytu w Vence robiłam notatki, które teraz wykorzystuję. Z nich pochodzi niemal dosłowne przytoczenie wypowiedzi Gombrowicza. Już chyba w pierwszy wieczór mojego pobytu w Fundacji usłyszałam od pani Karolyi, że w Vence mieszka wielki pisarz polski, Witold Gombrowicz – tak się wyraziła. Przypomniały mi się moje lata studenckie, kiedy czytałam jego książki, były dla mnie czymś nowym i ważnym. Na pierwszej mojej wystawie w 1958 roku w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” w Krakowie, jedna z grafik nosiła tytuł „Transatlantyk”.

Gombrowicza zobaczyłam pierwszy raz w antykwariacie – galerii „Argolas” na wernisażu Teresy Byszewskiej, malarki z Polski. Przedstawił mi go Marek Oberländer, który czas jakiś przebywał w fundacji Karolyi, potem zamieszkał w Nicei. Gombrowicz witał się z kilkoma osobami, mówił zaledwie parę słów. Ubrany był elegancko w biały sportowy garnitur. Robił wrażenie jakby nieprzytomnego lub chorego. Usta wykrzywione, oczy mętne. Wydawało mi się, iż sprawia mu wielki wysiłek być między ludźmi, a równocześnie stał się od razu najważniejszą osobą wernisażu.

W kilka dni później pani Karolyi po powrocie z miasteczka powiedziała mi, że spotkała Gombrowicza, który prosił, żebym przyszła koniecznie do kawiarni „Regence”, gdzie bywa codziennie od piątej po południu. Zmęczenie przygotowaniami do podróży, sama podróż, zły stan zdrowia – przy tym natłok silnych wrażeń i potrzeba spokoju, koncentracji do pracy – powodowały, że spotkanie to odkładałam na potem. I nie ukrywam, że lękałam się trochę – sama byłam wówczas chorobliwie przewrażliwiona – a te parę chwil na wernisażu powiedziały mi o nim bardzo wiele.

Po paru dniach Gombrowicz przyszedł sam do domku, w którym mieszkałam. Siedziałam przy oknie – rysowałam. Nagle zaskoczyły mnie słowa wypowiedziane po polsku: „Jest tam kto? – dlaczego pani nie przyszła na kawę – przecież prosiłem przez hrabinę” (później zresztą Gombrowicz zawsze wyrażał się o paniach z Fundacji *per* hrabiny). Był ze swoim psem – łaciatym kundlem. „Tylko niech pani nie myśli, że to kundel – to bardzo rasowy pies – specjalna rasa prowansalska. Nazywa się Psina”.

Usiedliśmy na tarasie na leżakach. Zwróciło moją uwagę to, że prawie nie parzył na mnie podczas tej rozmowy. Pierwszy raz zetknęłam się z kimś, kto tak się zachowuje przy poznawaniu drugiego człowieka. Był jakby z boku, jakby własnym świadkiem tego, co mówi, obok, a nie w środku rozmowy. Palił papierosy przeciw astmie. Z tej pierwszej rozmowy pamiętam jego uwagę o malarstwie. Powiedział,

Świadectwa

że jest wrogiem malarstwa, że to „konwenans i bzdura”. Przypomniałam sobie, jak Marek Oberländer mówił o swoich sporach z Gombrowiczem na temat malarstwa. Podobno poważnie się pokłócili. Ta wizyta trwała krótko, był zmęczony upałem – droga do Fundacji z miasteczka była dość daleka. Zaprosił mnie na następny dzień do domu na czwartą po południu.

Mieszkał w narożnym domu na Place du Jardin – na najwyższym, chyba trzecim piętrze. Okna gabinetu, w którym pracował, wychodziły z jednej strony na plac zadrzewiony platanami, z drugiej – na wypalony masyw górski. Przedstawił mi swoją żonę – Kanadyjkę, Ritę Labrosse. W pokoju jadalnym zobaczyłam geometryczny czerwono-czarny obraz Józefa Jaremy i też abstrakcyjne płótno jego żony, Marii Sperling. W hallu druga kompozycja Jaremy – czarnobiała, zabudowana drewnianymi klockami. Do tego obrazu Gombrowicz przywiązywał szczególną wagę, mówił, że przyzwyczał się do niego i że jest świetny. Opowiadał o swojej przyjaźni z Jaremami stale mieszkającymi w Nicei, o tym, że wypożyczają mu swoje obrazy. Poprosił mnie o którąś z moich grafik (nie widział jeszcze wówczas moich prac) – o wypożyczenie chociaż. Mówił, że lubi mieć u siebie obrazy, „bo to jakoś tak dekoracyjnie działa”.

W czasie tej pierwszej dłuższej rozmowy mówiliśmy o Polsce, pytał wówczas między innymi o warunki codziennego życia w kraju, na przykład interesowało go, za ile mógłby się utrzymać miesięcznie. Potem rozmowa przeszła na *Kosmos*, który się właśnie ukazał. „*Kosmos* będzie miał trudny start” – powiedział. „Ta książka to reakcja na niemożliwą, nudną, nie do czytania literaturę”. Potem w jadalni przy herbacie rozmawialiśmy razem z jego żoną. Cieszył się tym, że kupił właśnie „dwukonkę” francuską (Citroena), że żona go będzie wozić.

W ciągu tych dwóch miesięcy pobytu w Vence widywałam Gombrowicza często. Rozkład dnia miał ustalony i trzymał się go ściśle. Przedpołudnie spędzał przy biurku – praca nad aktualną książką i załatwianie korespondencji. W południe spacer, po zażyciu lekarstw przeciw astmie, która już wtedy bardzo mu dokuczała. Potem odpoczynek. O piątej kawa w „Regence”, czasem przyjmowanie gości, a od chwili kupna samochodu – przejażdżki z żoną.

Kilkakrotnie byłam w domu Gombrowiczów. Jeździliśmy też razem nowym samochodem po wybrzeżu. Z samą Ritą jeździłam na plażę. Spotykaliśmy się w „Regence”. Kilkakrotnie przychodził do mnie do Fundacji. Zawsze w największy upał w południe, gdy ja już nie mogłam malować, a on po przedpołudniowej pracy odbywał zalecony przez lekarza spacer.

Chciałabym opowiedzieć o kilku epizodach – i drobnych, i tych ważniejszych – które szczególnie utkwiły mi w pamięci. Po tylu latach tylko niektóre z nich spróbuję opowiedzieć, jako że są najbardziej charakterystyczne.

Gombrowicz miał zabawą manię mierzenia odległości. Teraz, gdy przeczytałam we wspomnieniach Tadeusza Kępińskiego o szkolnych zabawach w pomiary pod wpływem prof. Wolffa, zdziwiłam się, jak ten dziecinny zwyczaj przetrwał. Miał w gabinecie lornetkę, którą wręczał każdemu z gości i z całą powagą kazał obserwować masyw górski widoczny z okna. Opowiadał przy tym starą francuską legendę

Stankiewicz Spotkanie w Vence

o diable, który na tej górze gdzieś miał szafas. Raz znowu siedzieliśmy u mnie na tarasie, skąd był widok bardzo rozległy i nagle zapytał: „no, jak pani myśli, ile metrów jest stąd do przeciwległego wąwozu i od lasu tego tam do morza?” Powiedziałam na chybił trafił, a on zupełnie poważnie triumfował i śmiał się ze mnie, że nie mam wyliczenia odległości, i twierdził, że to przychodzi w miarę ćwiczeń.

Kiedyś spadł nagle wielki, ulewny deszcz, taki, jaki bywa tylko na południu Francji jesienią, i padał przez tydzień. Byłam na moim odludziu odcięta od świata, bez samochodu nie można było ruszyć się do miasteczka nawet pod parasolem. Gombrowiczowie wtedy przyjeżdżali do mnie. Okazywali mi dużo serdecznej życzliwości, a Gombrowicz mówił: „Boję się, żeby pani tu nie zwariowała, przecież na tym odludziu można dostać neurastenii”. Innym razem, gdy miałam nadać z Nicei paczki z moimi obrazami, zaproponowali pomoc i odwieźli mnie na pocztę.

Któregoś dnia zostaliśmy zaproszeni do Jaremów. Mieszkali w bardzo pięknie i prosto urządzonym domu z ogrodem przy Rue de la Lanterne w Nicei. W pracowni Józefa Jaremy wszędzie pełno obrazów – jego i Marii Sperling. Oglądaliśmy je razem, Gombrowicz robił uwagi. Śledził pracę Jaremy nad układami kompozycji – ostatnie z nich były monochromatyczne. Rozumiał świetnie, jakie zagadnienia formalne stawiał sobie Jarema, szczególnie podziwiał bogactwo czerwieni na jednym z płócien. Im obraz był bardziej syntetyczny, ascetyczny i równocześnie bogaty w tym zamierzonym ograniczeniu – tym bardziej go cenił. Mniej lubił lutowane ze srebrnego metalu efektowne kompozycje Marii, nad którymi wówczas pracowała. Były tylko dekoracyjne. Atmosfera domu Jaremów gościnnością przypominała domy polskie. Gombrowicz czuł się tam bardzo dobrze. Grywał z Jaramą w szachy.

Potem znów Jaremowie odwiedzili Gombrowiczów w Vence, zaproszono mnie również. Rozmawialiśmy o malarstwie i także o moich pracach. Korespondowałam później z Jaramą. Mam tu kartkę od niego z 1970 roku, w której pisze:

Niestety pejzaż tej kartki przypominający Pani krótki pobyt (za krótki) we Vence, przypomina równocześnie, że naszego wielkiego, wspólnego przyjaciela już nie ma! A właściwie JEST CORAZ WIĘCEJ – INACZEJ. Bardzo pani serdecznie dziękujemy za pamięć. Siedzimy teraz coraz głębiej w KOLORZE. Z „człowieka” trzeba zrobić SIEBIE. Ostateczne zadanie.

W stosunku Gombrowicza do malarstwa i malarzy była niechęć do targowiska, do pozornych, a przecież przynoszących materialne korzyści sukcesów, do wszelkiej łatwizny, która zostaje uznana i usankcjonowana. Porównywał na przykład pracę malarza – który potrafi namalować w dwa tygodnie kilkanaście w pewnym sensie dobrych obrazów i urządzić z nich wystawę, zdobyć sukces i pieniądze – z pracą nad książką, trwającą czasem parę lat.

Niekiedy, zwłaszcza w rekonesansowych rozmowach z malarzami, przyjmował pozę dawnego mecenasa uznającego wyłącznie dekoracyjną funkcję malarstwa. A przecież cenił malarstwo intelektualne, świadome swojej funkcji i przyznał się do tego w rozmowie, w której porównywał malarstwo do muzyki. Chagalla nie

Świadectwa

znosił. Nazwał go „sentymentalnym, starym błaznem”. Ale ubolewał, że od chwili, gdy Chagall ożenił się z jakąś Amerykanką czy Angielką, skończyły się u niego zebrań artystów.

Do Pani tytułem wyjątku to własnoręczne pismo ślę, albowiem Pani dzieła zdobią nasze ściany. (bardzo okazały się dekoracyjne) i są przedmiotem pochlebnych komentarzy malarzy (ha, ha, ha!), którzy do mnie zagląдают (ha, ha, ha!) [dopisek na marginesie: „to pod adresem malarzy”]. (list z 23 kwietnia 1966)

Zdaje się, że w opinii ogółu i krytyków poza Gombrowicza w stosunku do malarstwa została uznana za jego prawdziwą postawę wobec tej sztuki. Tymczasem również w tej dziedzinie przejawiał on najgłębszą wrażliwość i to wycucie spraw formy, która we wszystkich dziedzinach sztuki poddana jest tym samym prawom. Przykładem bezpośredniej wrażliwości Gombrowicza na sztuki plastyczne jest fragment z *Dziennika* z 14 września 1967:

Już wymierzanie – już obliczanie, obmyślanie – spory.

Chcę, żeby makata Jaremy o głębokich i soczystych zestawieniach czarno-zielono-ryzawo-włóknistych stała się w hallu o dębowych boazeriach odpowiednikiem złotawo-rudawej tapiserii Marii Sperling, nasyczonej czarną siatką rytmów... a zawieszona tam, u końca amfilady, na ścianie mego gabinetu.

Cztery natężone wariackie Glazy, dwa strukturalnie przejrzyste Stankiewiczze, tudzież sześć mocno ściętych ciszą rozwibrowanych Sperlingów przeznaczyłbym (gdyby mnie usłuchano) do dwóch pierwszych pokoi, natomiast dwa staroholenderskie płótna, cenny prezent Reada, niech pójdą na ściany mego gabinetu.

Jaremy czerwien (po której mam „spacerować”, mówił) niech się wielobarwi między szafą flamandzką, a drzwiami mego gabinetu.

Chagall?

Kłopot z jadalnym.

Gdybyż ona chciała mi sprzedać te foteliki...

Dziś już siedziałem, co prawda na prowizorycznym stołku, w okrągłościach wielokiennych mego gabinetu.

Trudno przyjąć, żeby człowiek tak wyczulony na formę w każdym jej przejawie mógł być niewrażliwy na jeden z jej przejawów. Jego opisy – na przykład plaży, w *Dzienniku*, czy zbliżeń fragmentów ludzkiego ciała, tego wszystkiego, co dostrzegalne ludzkimi oczyma – są często pisanymi obrazami, zbliżonymi do obrazów w sztuce współczesnej (wyolbrzymienie fragmentu, wyłowienie przedmiotu „nieważnego”, nieoczekiwane zestawienia itp.). Malarskie widzenie jest integralną częścią jego twórczości. Jedność jego odczuwania sztuki zauważyłam szczególnie wyraziście wówczas, gdy nazwał moje prace „utworami”, a o rysunkach wyraził się, że to prawie Mozart.

Któregoś dnia przyniosłam Gombrowiczowi obiecane grafiki i rysunki. Oglądał długo, rozkładał je na biurku, tapczanie, próbował wieszać. Wreszcie powiedział: „To znakomite utwory, skrót, synteza, wielka dyscyplina i zarazem

Stankiewicz Spotkanie w Vence

wielkie bogactwo. Małe rysunki aż trochę perwersyjne w swojej czystości i wyszukaniu ascetycznym”.

Grafiki porównywał do zapisu muzycznego: „To jest muzyka prawie – z tej dziedziny, tak czyste, jak Mozart”. W abstrakcyjnej sztuce plastycznej widział więc analogię z najbardziej abstrakcyjną ze wszystkich sztuk – z muzyką. Wydaje mi się, że jeśli spojrzeć chociażby na fragment *Dziennika*, który przytoczyłam wyżej, nie można nie zauważyć, że stanowi on przemyślną kompozycję jednocześnie graficzną i niemal muzyczną. O tym fragmencie pisał do mnie w jednym z listów: „Ale więcej Pani o mnie z «Kultury» się dowie, choć silnie nakłamałem, że willę kupuję, a to żeby zdenerwować zawistnych” (list z 15 stycznia 1968).

Gombrowicz miał dobry adapter i sporo płyt. Tu przypomina mi się taki moment: kiedyś wróciliśmy z Ritą z plaży, było późne popołudnie. Gombrowicz czuł się tego dnia źle, nie wychodził w ogóle z domu. Zastałam go w gabinecie pochylonego nad adapterem. Słuchał Beethovena. Powiedział: „Siedzę tak już kilka godzin i nie mogę dojść do tego, dlaczego ta właśnie a nie inna fraza tak mnie wzrusza”.

Podarowałam mu dwie grafiki i cztery małe rysunki. Ucieszył się bardzo i powiedział, że zaraz da wszystko do oprawy do galerii Chave’a. Wspomniałam, że chcę wybrać się do tej galerii i zapytać o możliwość urządzenia mojej wystawy. Zaproponował, że pójdzie ze mną. W galerii przybrał swoją charakterystyczną pozę wyższości i dystansu. Dyrektorowi galerii, uniżenie uprzejmemu wobec niego, powiedział, że właśnie był u niego Read, że widział moje prace i uznał je za znakomite. Zrobiło to ogromne wrażenie na panu Chave. Po wyjściu z galerii zapytałam Gombrowicza, czemu tak nakłamał, przecież Reada nie było. Odpowiedział: „Czy to nie wszystko jedno – nie był, ale będzie”. Wspominał mi już wcześniej o swojej przyjaźni z Readem, który będąc w Vence zawsze go odwiedza.

W czasie tych dwóch miesięcy dużo zwiedzałam – tyle było przecież do oglądania, o czym wspominałam na początku. Rozmawialiśmy o tym z Gombrowiczem któregoś dnia u mnie na tarasie. Gombrowicz powiedział, że nie znosi w ogóle muzeów, nigdy niczego nie zwiedza i mówił: „Lepiej niech pani tu siedzi pod tą figą i patrzy na nią. Wiele więcej pani zobaczy, więcej to pani da niż to całe zwiedzanie”. Podobnie było, gdy powiedziałam o moich planach zatrzymywania się w Marsylii, Arles, Avignonie, w drodze powrotnej do Paryża. „Żeby mi ktoś dopłacał do tego, nigdy bym nie wysiadł z pociągu, gdybym miał bilet prosto do Paryża”.

W liście wysłanym do niego już z Wiednia, opisałam przykrą historię, która przydarzyła mi się właśnie w Marsylii. Podczas zwiedzania jednego z kościołów napadł mnie Korsykanin. Kościół był w remoncie, zupełnie pusty, i przygoda mogła skończyć się tragicznie. Prawie codziennie gazety donosiły o gwałtach i morderstwach.

Droga Pani Tereso, szkoda rzeczywiście, że skończyło się na niczym, to zawsze pozostawia na dnie duszy osad niezaspokojenia... (list z 17 września 1965)

Podczas wspólnych przejażdżek samochodem Rita i ja zwiedzałyśmy, co było ciekawego po drodze – Gombrowicz wtedy czekał w samochodzie. Pamiętam

Świadectwa

piękną drogę przechodzącą serpentynami przez Grand Cirnich i Moyen Corniche, skąd był rozległy widok na całe wybrzeże. Gombrowicz oburzał się wtedy na mnie, że nie wyrażam zachwytu głośnymi okrzykami. Mijałiśmy ruiny różnych zamków, uczepione skał. Pokazując mi zamek Rothchilda, powiedział: „Ruiny mają dla mnie wartość tylko wtedy, gdy nadają się do zamieszkania, gdy są komfortowo urządzone”. Gdy jechaliśmy wzdłuż wybrzeża, mijając luksusowe hotele Nicei, powiedział: „Dlaczego bogactwo przychodzi przeważnie wtedy, gdy już nie jest potrzebne – niech pani patrzy, kto mieszka w tych hotelach: same trupy”. Sukces Le Clézia, którego znał osobiście, wzburzał go i rozgoryczał. „Jak to jest możliwe, jest młody, jest piękny, jest bogaty i już jest sławny – i jakim cudem mając to wszystko – tak pisze i jest taki dojrzały”. Był z Cléziem umówiony i denerwował się brakiem telefonu od niego.

W kontaktach z ludźmi młodymi, na przykład z artystami z Fundacji (piliśmy nie raz kawę w kawiarni), Gombrowicz wydawał się rozluźniony. Ich naturalny, spontaniczny sposób prowadzenia rozmowy, sposób bycia, był dla niego pewnego rodzaju wypoczynkiem. Słuchał ich chętnie. Myślę, że i dlatego dobrze mu było z Ritą. Rita była młoda, żywa, przy tym bardzo taktowna, opanowana w sposobie bycia. Zawsze skromnie, sportowo ubrana, bez makijażu, typem urody przypominająca polską dziewczynę. Rozmawialiśmy dużo podczas naszych wypraw na plażę. Mówiła o sobie, o swoich rodzicach i licznych rodzeństwie pozostawionym w Kanadzie. Studiowała romanistykę. Martwiła się o zdrowie męża. Wypytywała mnie, co i jak mówi się w Polsce o Vitoldo i o jego książkach, których nie pozwalał jej czytać. Gombrowicz wspominał mi o planowanym wyjeździe swojej żony do Polski dla uporządkowania pewnych spraw.

Temat Polski powracał nieraz w naszych rozmowach. Wspominał też Argentynę, mówił, że tęskni za nią, że te lata świetnie pamięta, a sprzed wojny ma zupełną lukę. Opowiadał o pobycie w Berlinie, o stypendium Forda. Silne wrażenie wywarł na nim kontrast między Berlinem zachodnim a wschodnim. Chciał wtedy z Berlina przyjechać do Polski, ale nie był to odpowiedni moment. Bał się zresztą powrotu, tak wyraził się: „To byłaby zbyt męcząca historia, i do tego te spotkania z ludźmi po tylu latach”. Wspominał, że Warszawa przedwojenna nie znosiła go za pozę ziemianina.

W moim notatniku znajdują takie wypowiedzi Gombrowicza na temat kultury polskiej, zanotowane skrótowo – ale wiernie, bo bezpośrednio po jednej z rozmów, w czasie wizyty Jerzego Pomianowskiego, który przyjechał z żoną i Alicją Dryszkiewicz. Pomianowski uroczyście, przejęty. Wspomnienia o „Zodiaku” przedwojennym, Gombrowicz mówił, że nie może go sobie przypomnieć. Pomianowski pomaga, mówi, że miał wtedy 17 lat i że Gombrowicz nazywał go „uczeń ze szkół”, grali razem w bilard. Pomianowski przywiózł dla niego ważną wiadomość o Witkacym. Mówił, że go widział przed śmiercią. I że ma list poświęcony Gombrowiczowi. „Przeczytałem *Ferdydurke*. Niektóre kawałki genialne! [tu Gombrowicz: „kawałki!”] – chcę przeczytać wszystko, co napisał”. Alicja Dryszkiewicz też wspomina Witkacego – że była razem z nimi w Warszawie przedwojennej. Gombrowicz

Stankiewicz Spotkanie w Vence

mówi, że Witkacy go nie znosił za pozę „ziemianina”, myślał, że Gombrowicza bawiła ta poza. Gombrowicz zdenerwował się w czasie tej rozmowy tak bardzo, że omal nie skończyło się atakiem astmy.

Kultura polska, to ziemiaństwo, wieś i kościół. Inteligent siedział na wsi, widział kawałek pola, a co do sprawy filozofii – to religia i Pan Jezus załatwi wszystko. Z tego nie mogło urodzić się nic nowego, własnego, świeżego.

Sztuka to jest świat stworzony przez artystę, to wielkość – świat własny i mocny. Sztuka to eliminacja, to pisanie tylko tego, co jest dobre i tylko tego, co jest własne. To wstyd, ale Polska nie zdobyła się na jedną myśl samodzielną, własną. Ja nikogo nie oskarżam, tylko stwierdzam fakt. W Polsce nie zna się literatury dobrej, traci się całe lata w szkole i w domu na czytanie namiastek. Filozofia też nie istnieje. Przecież nie powstała żadna myśl filozoficzna polska. U nas Mickiewicz – a tu Montaigne, Pascal. Zna się wszystko z drugiej, trzeciej ręki. I w ogóle się nie zna. Czyta się za dużo i za prędko. Lepiej, żeby się nie znało tego wszystkiego. Lepiej byłoby dla Polaków, żeby nie mieli literatury polskiej.

Mroźek, to bardzo utalentowany człowiek, ale to nie jest jeszcze literatura światowa, to nie jest Ionesco. On nie wybiera tylko rzeczy potrzebnych, dla niego są dobre kawał z babą i inne – na równi. On nic nie wie, nic nie widział, nie ma swojego świata. Nie ma dystansu, perspektywy.

W trakcie tych uwag o polskiej kulturze jedna z pań, Polka, wtrąciła: „przecież mamy jeszcze Gombrowicza”. W odpowiedzi usłyszeliśmy: „Tak, ja nie rozumiem, dlaczego ja jestem taki inteligentny, skąd ja się wzięłam taki inteligentny”. Z późniejszych rozmów wynikało, że jedynie Schulzowi przyznawał wyjątkowe miejsce w polskiej prozie. Pamiętam, jaką wagę przywiązywał do *Sklepów cynamonowych*, pożyczając mi je do ponownej lektury („powolnej” – zaznaczył). Jakiś poeta emigracyjny (nie wiem, o kogo chodziło) przesłał mu do oceny swoje wiersze. Gombrowicz był zakłopotany, wiersze były słabe. Zapytałam, co mu odpisze. „To starszy człowiek – no cóż, napiszę mu tylko o tym, co w nich dobrego”. Wspomniał, że zwrócono się do niego w sprawie przekładu Simone Weil. Powiedział: „Nie mogę tego nawet czytać, nie mogę przecież dać się wciągnąć tej wariatce”.

Nie umiem sobie wytłumaczyć zakończenia jednego z jego listów, z 23 kwietnia 1966, które wygląda tak:

Kiepsko się miewam ostatnio, pewnie – wskutek alergii wiosennych. Pożywamy sobie spokojnie wraz z psem, kotem, samochodem, do czego dodać trzeba telewizję.

Bóg.

W.G.

Żył w stworzonym pod koniec życia domu jak pustelnik prawie, w narzuconych przez chorobę i przez samego siebie rygorach. Dał mi do czytania swój *Dziennik*, z którego wówczas przeniosłam ten fragment do mojego zeszytu:

Istnieją dwa porządki: ludzki i nieludzki. Świat jest absurdem i potwornością dla naszej nieziszczalnej potrzeby sensu, sprawiedliwości, miłości.

<http://rcin.org.pl>

Prosta myśl. Niewątpliwa.

Nie róbicie ze mnie taniego demona. Ja będę po stronie porządku ludzkiego (i nawet po stronie Boga, choć nie wierzę) aż do końca moich dni; także umierając.

Parę dni przed wyjazdem dostałam od niego *Kosmos* z dedykacją. Gdy się z nim zagnałam, mówiliśmy, że prawdopodobnie nigdy się już nie zobaczymy. Powiedział, odprowadzając mnie: „Tylko proszę, niech pani mi nie mówi tego, co wszystkim mi mówią przy pożegnaniu, że tyle zyskali na znajomości ze mną”. Potem wymieniliśmy parę listów. Przebywałam w Wiedniu, gdzie wystawiono *Jawogę* w Teatrze Studenckim przy Biberstrasse. Wysłałam Gombrowiczowi plakat.

W 1971 roku ujrzałam jeszcze raz Gombrowicza, Ritę i Pisinę w krajobrazie Venecji. Ale to już był tylko reportaż włoskiego reżysera, który oglądałam w mediolańskiej telewizji.